

ABERRANT
TOWSKI

M A R G I N
D R A C J A
A B E R R A T O W S K I

© Copyright by Marcin Nadratowski & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Projekt okładki: Wojciech Gunia

ISBN e-book: 978-83-8166-405-9

ISBN druk: 978-83-8166-406-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2024

PATRONI:



PROLOG

Kiedyś

Chatę wypełniała woń starości, pleśni i stęchlizny. Pomieszczenie tonęło w półmroku, poźółkła farba odłaziła od powierzchni ścian jak naskórek spieczony afrykańskim słońcem. Starodawne komody przytłaczały, sprawiały, że i tak niewielkie pomieszczenie zdawało się jeszcze mniejsze.

Drewniane, ręcznie rzeźbione, jednoosobowe łóżko stało w narożniku pokoju. Na nim leżała kobieca postać, wątła, tonąca w czeluściach materaca, jakby zaraz miała opaść jeszcze niżej i jeszcze, i jeszcze, i opadać tak długo, aż zniknie, zapadnie się w głąb piernata, nie pozostawiając po sobie choćby cienia śladu.

Drobna staruszka, może osiemdziesięcio-, może stu-letnia – w pewnym wieku różnica zaciera się, jakby wyeksploatowane ciało przestawało dbać nawet o autodestrukcję – oddychała płytko, niespokojnie, jak gdyby trawiona sennym koszmarem, czemu przeczyły szeroko otwarte, wyblakłe oczy. Grube krople potu rosily wysokie czoło, rzadkie siwe włosy zlepiły się w strąki niczym splątane, pakułowe włókna.

Kobieta z trudem podniosła małą, pokrytą nabrzmiałymi, fioletowymi żyłami dłoń. Powykręcane

reumatyzmem palce sprawiały wrażenie wzajemnie skłóconych, jakby każdy chciał wskazywać inny kierunek i tylko słaba skóra trzymała je w zharmonizowanej całości. Jednym z nich musnęła przymocowany do ściany dzwonek. Ciszę rozdarł nieprzyjemny, metaliczny dźwięk.

Z głębi domu dobiegł odgłos spokojnych, zbliżających się kroków. Po chwili drzwi na korytarz stanęły otworem. U progu stała młoda, ładna dziewczyna. Popatrzyła w stronę posłania dziwnie, w jej spojrzeniu ciepło mieszało się z obrzydzeniem, poczucie obowiązku z niechęcią do jego spełnienia, miłość z nienawiścią, a wszystko to doprawione było pierwotnym obłędem.

– Stało się coś? – spytała aksamitnym głosem, niepasującym do surowego wnętrza, surowej starowiny, surowej rzeczywistości.

– Zeszczalam się – odpowiedziała leżąca skrzekliwie, głosem pasującym do surowego wnętrza, surowej rzeczywistości, surowej na swój sposób dziewczyny.

Młodsza nie odpowiedziała. Odwróciła się na pięcie, niknąc w ciemnym korytarzu. Stara czekała cierpliwie. Wiedziała, że tamta wróci. Młoda jej nienawidziła, oczywiście, któż mógłby ją za to winić. Mimo to spędziły wspólnie ostatnich kilka lat i doświadczona kobieta wiedziała o tamtej wszystko. Lojalność. To ją wyróżniało. Cnota tak bardzo zapomniana, tak bardzo pomijana w świecie gnającym przed siebie na złamanie karku, gdzie partnerów zmienia się częściej niż majtki, a pracę

czy samochód nawet kilka razy do roku. Cnota rzadko spotykana u takiego podrostka, a przez to tym bardziej imponująca.

Dziewczyna pojawiła się w izbie po upływie kilku minut, trzymając metalową miskę wypełnioną wodą. Podeszła do posłania, przysunęła sobie drewniane krzesło i odrzuciła kołdrę. Starucha uśmiechnęła się pod nosem.

– Chcesz wiedzieć, jak to zrobiłam?

Młodsza zeszywniała. Opanowanie, spokój, beznamiętny wzrok w jednej chwili rozsypały się jak domek z kart. Z niedowierzaniem odwróciła wzrok od mokrego, starczego podbrzusza. Spojrzała wprost w wyblakłe, złe oczy.

– Oczywiście – wyszeptała z ekstazą w głosie, jakby na samą myśl poczuła trudne do opanowania podniecenie.

Starucha złapała ją za twarz i przyciągnęła do siebie. Popękane usta wypowiadały zdanie za zdaniem, godzinami, wprost do delikatnych, młodych uszu.

Za oknem dął silny wiatr, gałęzie wyschniętej jabłoni chłostały szybko, ciemniało. W środku, nieświadome wpływających godzin, zespolone w jedną część niczym starożytny posąg, tkwiły dwie kobiety: stara i młoda, mówczyni i słuchaczka, przeszłość i przyszłość.

Zapadła noc.

PIERWSZE SPOTKANIE

26 maja, dziewięć lat temu

To było jak strzał prosto w pysk. Dzień jak każdy inny, to samo smutne miasto, ta sama droga na uczelnię, te same skacowane twarze studentów, ten sam on i ta sama, co zwykle, niechęć do wszystkiego, generalnie rzecz biorąc.

Piotr szedł ulicą Warzywniczą, z każdym krokiem zbliżając się do gmachu uczelni. Rosnący w oczach smutnoszary budynek szumnie zwany aulą straszyl brakiem stylu, kłującą w oczy nijakością, a upraszczając – zwykłą brzydotą. Setki identycznych okien, setki spływających spod parapetów rdzawych zacieków, zgniłożółta elewacja. Makabra.

Chłopak czuł, jak zbiera mu się na wymioty, na co wpływ w równym stopniu mógł mieć nieludzki upał – podobno tegoroczny maj był najcieplejszym od dwustu lat – jak i fakt, że poprzedniego wieczoru popłynął na imprezie z kolegami z roku, a także zbliżające się zajęcia z matematyki. A najpewniej melanż wszystkich tych składowych spowodował, że do gardła coraz bardziej niebezpiecznie podjeżdżała kwaśna gula, nieregularna breja, próbująca ujrzeć światło dzienne, wyskoczyć z trzewi, ozdobić chodnik, ewoluując w najbardziej polskie, najbardziej ludzkie katharsis w historii.

Matematyka. Zastrana matematyka.

Studiował biologię. Wybierając kierunek studiów, naiwnie wierzył, że raz na zawsze uwalnia się od „królowej nauk”, co okazało się bzdurą, jakich mało – nie dość, że matematyka widniała na liście przedmiotów wszystkich kierunków ścisłych, to na biologii poziom był naprawdę wysoki. Wróciły demony z wcześniejszych szkół, gdzie lekcje spędzał, wpatrując się w tablicę jak ostatni kretyn, nie tyle nie rozumiejąc materiału, co nie rozumiejąc nawet, czego nie rozumie.

Opuszczając rodzinne miasto i przeprowadzając się do Metropolii, postanowił, że kompletnie odetnie się od przeszłości. Oddzieli ją grubą ścianą, której nigdy nie zburzy. Skończy się chowanie po kątach, lęk przed własnym cieniem, uciekanie od problemów, bycie popychadłem i największą oferumą. Efekt zaskakiwał – w nowe towarzystwo wpasował się idealnie, a dzięki pomocy piwa i trawy szybko został największą gwiazdą roku. Koledzy i koleżanki go szanowali – wreszcie, po raz pierwszy w jego niespełna dwudziestoletnim życiu, przez co czuł się jak ryba w wodzie. Pomogła też zmiana stylu – skórzana kurtka, niesforna fryzura, wszystko to zebrane razem przyniosło oszałamiający rezultat. W niecały rok Piotr stał się członkiem grupy, wręcz nieformalnym jej dowódcą, spoiwem trzymającym studentów w kupie. Miła odmiana, choć tylko on zdawał sobie sprawę, że oparta na kłamstwach. Bo w środku wciąż pozostawał Piotrusiem, który na myśl o otwarciu

drzwi nieznanemu dostawał ataków paniki, a pizzę zamawiał tylko poprzez aplikację, bo na myśl o rozmowie telefonicznej ciśnienie skakało mu powyżej dwustu.

Wyciągnął skręta, odpalił. Część złości, nieśmiałości, bylejakości uleciała wraz z wypuszczonym kłębem dymu. Druga część uderzyła z jeszcze większą mocą, co dało – mówiąc matematycznym (o zgrozo!) językiem – efekt zerowy. Ale przynajmniej grupa wyczuje od niego słodki zapach – zapach, którego nie da się pomylić z żadnym innym. Będzie mógł dalej nosić maskę, udawać, że laurka wyluzowanego macho, którą sobie wystawił, jest prawdziwa. Czy palił za dużo? Niewątpliwie. Czy pił za dużo? Chyba nie, chociaż jak określić bezpieczną granicę w wieku dziewiętnastu lat, gdzie alkoholizm kojarzy się tylko z nafurkotanym do nieprzytomności, zarzyganym żulem leżącym pod sklepem w zaszarych jeansach? Nie miał zamiaru się nad tym zastanawiać. Jeśli tego będzie wymagała sytuacja, to i pić zacznie więcej, i jarać, a i kokainą nie pogardzi. Byle nie wypaść z roli członka grupy, jakiegokolwiek grupy.

Kiedy tak zastanawiał się, jak rozegrać dzisiejszy dzień, jak scena po scenie upewniać każdego wokół, że jest tym, kim nie jest, ujrzał Michalinę, a to z kolei doprowadziło do zmiany perspektywy. Zmiany postrzegania tego dnia, samego siebie, całego życia.

Nigdy nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, ba, nie do końca wierzył w miłość per se. Prąd, który przeszedł go po plecach, rumieniec wypełzający na

twarz, mrowienie w kroku i szalone bicie serca, które w jednej chwili przyspieszyło kilkukrotnie swój rytm – wszystko to było czymś nowym, czymś zaskakującym, dowodem na to, że być może czas zrewidować niektóre poglądy.

Michalina nie była piękna, a przynajmniej nie w ten oczywisty sposób rodem z portali modowych. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że jest wyjątkowa. Stojąc w grupie dziewcząt, wśród których próżno byłoby szukać jakiegokolwiek nieatrakcyjnej, i tak świeciła niczym diament. Kruczoczarne, kręcone włosy do pasa odbijały promienie słońca. Dziewczyna miała wielkie zielone oczy i setki piegów ozdabiających jej twarz. Mały, zadarty nosk dodawał nieco zadziorności, pełne usta, złożone do rozbrajającego uśmiechu, hipnotyzowały.

Piotr stanął tuż obok dziewcząt. Rozmowy się urwały, studentki rzucały mu pełne zaciekawienia spojrzenia, najwyraźniej jego sława gwiazdy szybko obiegła uczelnię. No i był całkiem przystojny.

– Przepraszam, drogie panie, że przeszkodziłem. Muszę jednak podkreślić, że rzadko zdarza mi się zauroczyć, a najwyraźniej jedna z was – tu ukłonił się w stronę Michaliny – rzuciła na mnie czar.

Większość dziewcząt parsknęła śmiechem. Kilka zachichotało pod nosem. Ale nie ona. Ona zlustrowała go rozbawionym spojrzeniem i przewróciła oczami. Wiedziała, że chodzi o nią, jak mogłaby nie wiedzieć, Piotr nie odrywał wzroku od jej twarzy.

– Powiedzieć, że ten tekst był słaby, to nic nie powiedzieć. Jeśli na studiach idzie ci tak jak z dziewczynami, to chyba musisz pogodzić się ze średnim wykształceniem – odpowiedziała ciepłym głosem, a Piotra abstrakcyjnie przeszedł zimny dreszcz. Zimny, ale przyjemny. Pozostałe dziewczyny wybuchnęły śmiechem, ale jego to nie obchodziło. Liczyła się tylko ona.

– Przepraszam, nigdy nie byłem w tym dobry. Piotr Tuszowski, student biologii, zapalony fan ciężkich brzmień i lekkich trunków.

– Michalina Rajaska, studentka prawa, a reszty dowiesz się następnym razem.

Tajemnicza. Pewna siebie. A przy tym wszystkim najwyraźniej odwzajemniająca flirt.

– Następnym razem to znaczy? Kawa? Jutro?

– Czemu nie? Będę tu jutro o szesnastej. Lepiej się nie spóźnij, nie lubię tego.

– Będę na czas. Jest szansa, żebyś przyszła sama? Czy koleżanki są w zestawie? – spytał Piotr, szepcząc konspiracyjnie, próbując pod postacią kiepskiego żartu ukryć niechęć do chichoczących coraz bardziej irytujących dziewczyn, czym wzbudził zresztą kolejną falę niekontrolowanego śmiechu. Jezus Maria.

– Będę sama. Jeśli chodzi o randki, jestem raczej staroświecka. Do zobaczenia.

Odeszła, a za nią pomknął sznur podekscytowanych szczebiotek, przywodząc na myśl małe kaczkę podążające ślepo za swoją rodzicielką. Miał nadzieję, że Michalina

stanowi wyjątek, że ta banda kretynek to tylko grupa zajęciowa jego diwy, a nie najlepsze przyjaciółki.

Wystarczyło jednak, żeby Piotr przypomniał sobie piękne spojrzenie zielonych oczu, a wszelkie inne myśli zeszły na dalszy plan. Jutro kawa, jeśli wszystko się uda. Będzie kuł żelazo, póki gorące. Zaprosi ją na obiad, może do kina. Sprężystym krokiem ruszył w stronę swojego wydziału. Nawet te przekłete zajęcia nie zepsuły mu humoru.

Spis treści

PROLOG	4
PIERWSZE SPOTKANIE	7
PEŁNIA SZCZĘŚCIA	13
WYMARZONY WYJAZD	27
NOWY DOM	32
NOCNA WIZYTA	40
PIERWSZE ZGRZYTY	47
ZBLIŻENIE	62
WSZYSTKO NIE TAK	70
KŁÓTNIE	109
TRUDNE ROZMOWY	118
PREZENT	131
KOCHANIE, OBIAD	136
NIEPOKÓJ	156
WĄTPLIWOŚCI	166
PUNKT ZWROTNY	200
PANDEMONIUM	210
DAWNY FINAŁ	243
OSTATECZNY FINAŁ	251
EPILOG	259